



KAMENIA

1

rok trzeci

MIESIĘCZNIK LITERACKI

WRZESIEŃ 1935 R.

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO:

STEFAN NAPIERSKI	Chmura na czole . . .	str. 1
JAN ŚPIEWAK	Frater scholasticus . . .	„ 2
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI	Zwycięska rezygnacja . . .	„ 3
ADAM BIELECKI	* * * . . .	„ 4
TADEUSZ HOLLENDER	Przed burzą . . .	„ 4
JERZY PIETRKIEWICZ	Narodziny poezji . . .	„ 5
JAN KOTT	Nieskończoność . . .	„ 6
LEW GOMOLICKI	Zwspółczesnej poezji rosyjskiej „	7
KAZ. AND. JAWORSKI	Przekłady z B. Pasternaka i M. Cwietajewej . . .	„ 9
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Przekłady z Heredji . . .	„ 12
ANTONI MADEJ	Przekład wiersza J. Bednarza „	14
JÓZEF N. KŁOSOWSKI	Dom Grała . . .	„ 15
KAZ. AND. JAWORSKI	„Rozmowa z ojczyzną“ J. Łob- dowskiego . . .	„ 18
NOTY	. . .	„ 20

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:
Fragment z Górki katedralnej.

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Raformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

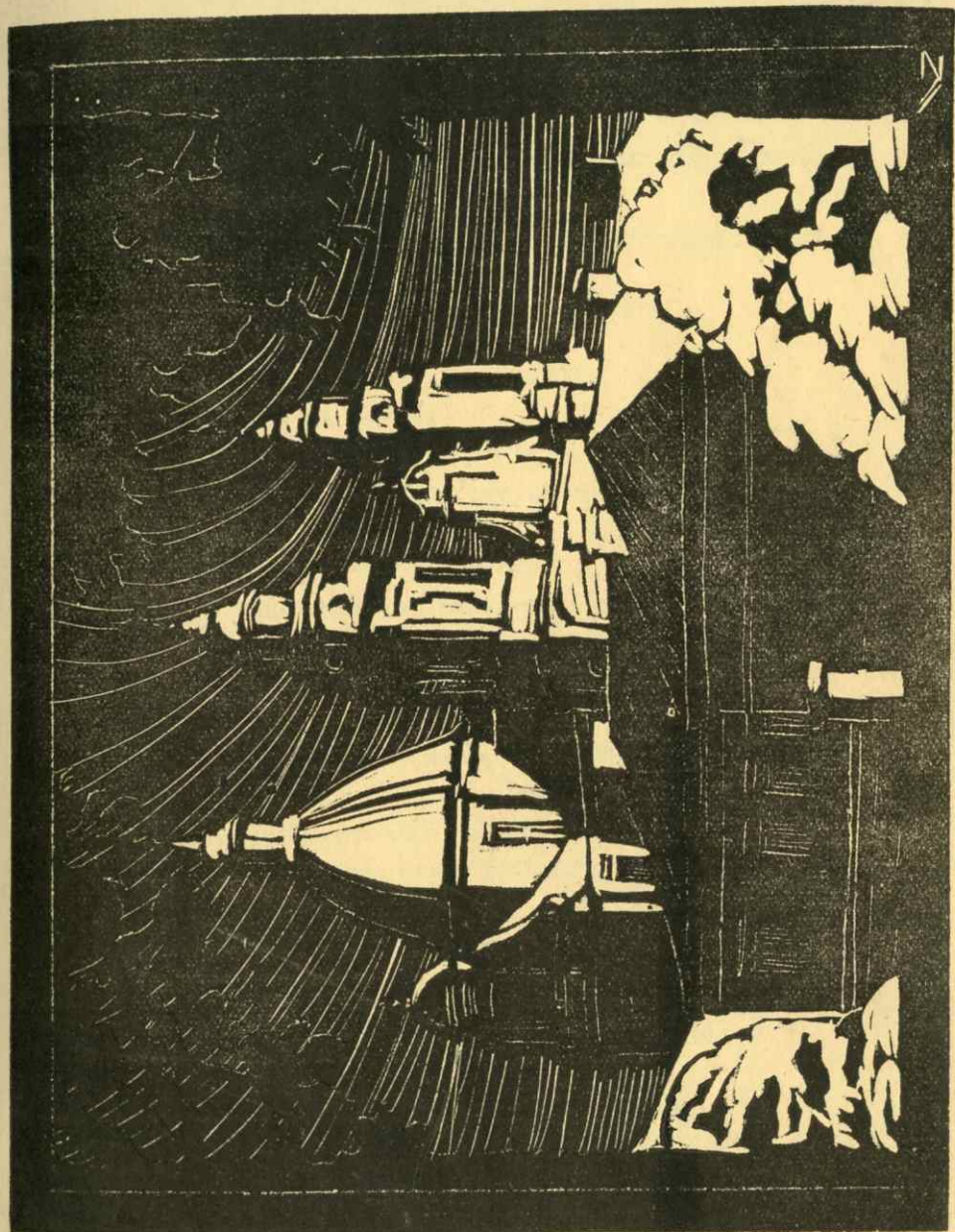
Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.
Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki
Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna 10 (numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunko-
wym (niebieskim)

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 50 gr,

Łączono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



k a m e n a

miesięcznik literacki

rok III

wrzesień 1935 r.

nr. 1 (21)

CHMURA NA CZOLE

Gałąź smukła o szyby w przelocie
Zapukała już naukos.

Pierwsze ptaki, zatrzymane w locie,
Oglądają się w kałuży, nie widząc.

Znów żałobne pól rozlewiska
Na gnijącej tej roli otwartej,
Sine kielki — rychłe pastwiska
Dla krów chudych, ciężko dyszących.

Och, i chruury! — dawne widziadła,
Położone na źrenice ośleple,
Z których nawałnica wybladła
Runie, srebrnym krając piorunem.

I zmierzch jeszcze — z gajowej fletni
Zrodzony w rozjękach śpiewnych.
Zmrok łagodny — prawie letni.
Oderwij palce od oczu!

Ponad ziemię patrz — noc ze złota,
Na tę ziemię spójrz — noc wokół czarna.
Tu i tam: wicher tobą miota
Bez nadziei, nijakiej nadziei..

STEFAN NAPIERSKI

FRATER SCHOLASTICUS

(Nadechodzi nowe średniowiecze)

Przyjdiesz do mnie i powiesz poprostu,
 że Warszawa zmusiła, że da ci
 swoich ulic i domów i mostów
 sepleniący, gnijący pacierz.

I potrójnie podkreśli to dłonią
 obok Wisły opadłej naukos,
 kiedy księżyc, rozpuchły jak suka,
 chlupnie w wodę, kamieniem tonąc.

Zaturkocą po drogach koniska,
 pocznie lawa w kamieniach wrzeć!
 —Będziesz znów przed kościołem ludziskom
 swą ochryplą modlitwę rzeć.

I objawi się djabeł kulawy
 i sto słońc na świeczniku z gwiazd..
 — Rzężąc, krzykniesz: „Oto czas krwawy
 zmyje gębę plugawą miast!“

I rozetnie zbój halabardą
 mleczną drogę kogucich piór:
 — „Chcę i będę jak święty Bernardyn
 głaskać owce spasionych chmur.

Chcę i będę się włóczyć po mieście
 opój-mnich, łajdaczyna, asceta.
 Sforę psów cisnę sam—i wypieszcze
 złą, wyśnioną postać kobiety

Sforą psów przez Mazowsze po Wołyń,
 rudą Wisłą przez Płock aż po Bałtyk! —
 I zapłonie na stosach, zaboli
 krzyk ginących w torturach i gwałtach.

Pragnę nocy bezbrzeżnej i długiej,
 ostrą mgłę znów zamienić chcę w mit,
 żeby wiatr — uniżony sługus
 wstrzymał dłonią wschodzący świt“

..Przyjdiesz do mnie, odpowiem poprostu
 średniowieczną twą gwarą pijacką:
 dźgnę cię nożem zbójeckim pod mostem,
 bracie, czolgający się po omacku.

I upiłem się wódką i winem...
 (alkoholu smak truje—sam wiesz.)
 Zamiast pieśni, zamiast oczu dziewczyny,
 wstał i zawył ten kosmaty wiersz.

JAN ŚPIEWAK

ZWYCIĘSKA REZYGNACJA

Wszystko jedno, czy w ciszy wieczornej
 puka w meble robak, tocząc drzewo,
 czy się żarzy na węglach zachodu brzegiem ziemi ornej
 dzban świata, błyszczący słoneczną polewą.

I taksamo z oszklonych szaf z książkami,
 jak z lasu, gdzie tajemnice poukładane są w kolumnach pni
 idzie, jak dym powoli i pełga to, co się jesiennie śni.

Tak się składa — w polu wlecze się smutny zapach kartofli
 i w grzędach grzebią rzędem schyleni kopaczce
 — jak zarzewie z ogniska, które sycząc, nim zgaśnie, mgłą skropli,
 spada nagle krótka rozpacz.

Na rozstaju modli się w kapliczce kamienny święty,
 jak przekleństwo, świszcząc, zrywa się wiatr
 — kiedy wyrzekasz, że tyle jest zła i nędzy,
 pomyśl, czy potrafiłbyś stworzyć słońce i choćby taki świat.

Możesz innym dobro i zło rozgrodzić,
 tak księżycowa litera dzieli srebro i purpurę na niebie,
 nie prosiłeś o to, ażeby się urodzić,
 ale widocznie nie mogło obejść się bez ciebie.

A wiesz o tem, że prędzej czy później
 przyjdzie milcząc śmierć, omglona jesień,
 rozpali się żar w przydrożnej kuźni
 i stal biała w podkowę zakłęśnie.

Piszę ten wiersz dla ciebie, a może dla wszystkich —
 wiersz jedwabny i siermiężny.

Kiedy wam będzie smutno i strasznie i rozpacz gardło zdusi,
 moja rezygnacja przypomni się wam i zwycięży,
 bo dzisiaj śmiałem się z radości, zrozumiałwszy, że tak być musi.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Powietrze chyli się nad miastem smagłe,
mocne jak ciało,
ciężkie jak snop włosów

Miasto drży drzew świegotem, naskórkiem trawników,
pręży kościelne wieże,
nawznak.

Zmierzch domów trze o niewidzialną ciemność gwiazd.
Księżyc z za chmur o szyby dzwoniące jak zęby.
Krew błota i zieleni nagli.
Aż zamiast krzyku z ust—czerwona gęba błyskawicy

Rozkosz spada jak deszcz.
Płuca ogrodów grają.

Tylko niby myśl oschła: więzienie śródmiejskie.

ADAM BIELECKI

P R Z E D B U R Z Ą

A wylało się świtem na pola i miasto
najpierw krwawo, tragicznie, boleśnie,
a potem świat się zwolna prężył i narastał
chmur borych pleśnią..

I otwarło się niebo przepaścistej ziemi,
pienne sosny skoczyły ku niebieskiej twierdzy,
wparły się w nią kominy igłami ostremi,
aż chmurą krwi spłonęło słońce żywe serce,
aż dogryzły się ostrzem wspaniałej wichury,
zdarły krwawo błękitów bawełnianą korę
i skłębiły się wściekle skołtunione chmury,
a zaharczał, zawarczał amarantem piorun.

A nim w deszcz się zmieniła fioletowa jasność,
między grzmiotem i grzmiotem gdy się blask rozdzierał,
ktoś — śmiesznie wątlę słowem śmierci się wydzierał,
ktoś wykradł święty ogień na wieczystą własność,
ktoś przysiągł — że nie umrze, gdy będzie umierał,
bo zabrał niebu wieczność na świstku papieru.

TADEUSZ HOLLENDER

NARODZINY POEZJI

Jak zwykle:

ranek bańkami od mleka przez sen z ulicy gadał,
stróż zamiatał cienie, co spały pod każdym drzewem,
wiatr rozebrany do świstu z łóz i naiwnych wiklin,
krzyczał przed ludźmi nawprost, długo biegł, długo ich śladem,
śpiewał.

Pokoj był w duszy ciężki.

Jan sprzętami oddychał głęboko,
a świat już wyciekł do szczętu
z wzruszeń.

Wstać — przejść otwarty naroścież dzień,
w wieczór zawiązać myśli
jak w supeł.

Jakiś ból Janowi do mózgu uporem przysechł.
Kto serce naprzekór żalom po blaski złociste wysłał.

Popołudniem oddycha się głębiej,
wolniej.

Stopy miękną w przyjemny, zamszowy spacer,
każdy widok analizą zakłębi
tu — w głębi.

Jan widział: tramwaj wiosłował cieniami,
zgarniał ku sobie ulicę w zakrętach;
cieniami kontury stępił,
zakrętami kierunki popętał.

Jak zwykle: piętro zbiega po schodach do drzwi,
po poręczach poblaski się toczą,
można radość w oknach policzyć
czerwienią.

Jan świat wdychał przez myśli głęboko:
wiotko powtarzały się w sercu podłogi, krzesła, cienie.

Na Królewskiej w górze gotowały się nagie obłoki,
parskało niebo nad dachy,
zmierzch blaski nachodził bokiem,
radością sunęła oddal
z Marszałkowskiej, z Senatorskiej, z Zielnej.
Słońce auto wyostrzało w kształty,
oknom było ku radości pilno,
krzyczały

Błyskiem Jana skaleczyła wizja,
 świat gdzieś w sercu pluskał i pryskał
 w śmiechy.

A chmurom było słońca mało,
 a autom było wiatru mało,
 wielka mobilizacja radości.

Janie, Janie...
 Słońce.

Wieczorem, kiedy tramwaj żółtym blaskiem się dumnie nadał,
 przed Żoliborzem latarnie światłami skoczyły nad ciemność
 i w blade zmieniły się hostje.

JERZY PIETRKIEWICZ

NIESKOŃCZONOŚĆ

Wtedy
 kiedy nieskończoność była kulą,
 jak jabłka o gładkiej skórze toczyć ją mogłeś rękoma,
 jak pomarańczę rzucać do góry.
 Kiedy tryska sok pomarańczy —
 myślę zawsze o ustach.

Wtedy
 kiedy nieskończoność była kulą,
 jak bańkę z mydła mogłeś ją puścić do góry
 i dmuchnąć bajką z piany.
 Ziemię jak globus wystarczało dotknąć,
 wirowały
 afryki i azje,
 oceany niebieskie jak oczy,
 których nie znałem.

Wtedy
 kiedy nieskończoność była kulą,
 okrągłą piłką nadętą powietrzem —
 powietrze było puste.
 Wtedy pan bóg, wierzyłem jeszcze,
 ziemią jak piłką bawi się na wietrze,
 — igłą dziury wierciłem w piłce.

Wtedy
 kiedy nieskończoność była kulą,
 byłem
 dzieckiem —

ZE WSPÓŁCZESNEJ POEZJI ROSYJSKIEJ

(B. Pasternak — M. Cwietajewa)

Współczesna poezja rosyjska ma dwoje nader swoistych poetów. To nie nowatorzy. Okres zaciętego nowatorstwa skończył się dla rosyjskiej poezji jeszcze przed wielką wojną. Odtąd poetów rosyjskich charakteryzuje raczej jakaś krańcowa skromność. Drogę ich można określić jako przegląd bogatego spadku swej literatury. Być może istotnie nadszedł jakiś okres w rozwoju języka rosyjskiego, kiedy już tyle „stworzono“, że nie można iść dalej naprzód, zanim się nie opanuje do końca wszystkiego, co powstało dotychczas. W nowatorstwie nieunikniona jest pewna doza dyletantyzmu, tymczasem nadeszła pora, kiedy twórczość żąda zasadniczo uprzedniej specjalizacji. W takim okresie zrozumiałą jest pewien konserwatyzm i tylko najbardziej utalentowane jednostki mogą wyrwać się z biegu rzeczy, już nabrzmiałych czasem, już odkrytych, i uzbrojone w wiedzę przeszłości robić nowe genialne odkrycia.

Do takich właśnie poetów we współczesnej poezji rosyjskiej należą Borys Pasternak i Maryna Cwietajewa.

Że ci poeci są samowystarczalnie swoiści, nie będzie tego nikt kwestjonować, jednakże nie wszyscy rozumieją, na czym mianowicie ta ich swoistość polega. Jeśli niemożliwy jest pisarz bez własnego poglądu na świat, to dla poety niezbędne są własny słownik i własna poetyka. Tymczasem Pasternak na pierwszy rzut oka żadnej swojej poetyki nie posiada. Korzysta ze starych (a czasem nawet i staromodnych) klasycznych przeważnie metrów. Nie wprowadza nawet własnych graficznych nowatorstw. Zwrotki jego są zazwyczaj jednakowe. Wiersze zaczynają się po staremu wielką literą i kończą się rymami lub dawno uznanymi rymoidami, rymują się obok siebie lub prawidłowo zmieniają się kolejno. Tu Pasternak jest nawet pedantem. Korzysta z metru, jak wchodzący do pokoju korzysta z drzwi. I mimo to pierwszy lepszy rozmiar, który przeszedł przez wszystkie dzieje poezji rosyjskiej i był wyróbowany przez wszystkich poetów brzmi u niego tak, jak nie brzmiał jeszcze nigdy. Można go słuchać z zamkniętymi oczami i nie omylić się — poznać Pasternaka, odróżnić i jego naśladowniczo.

Swoistość Pasternaka tkwi w jego składni i słowniku. Są słowniki zwrotów i wyrażen archaicznych, możnaby ułożyć słownik nieodpowiedzialnego języka przeciętnego obywatela. Tajemnica stylu Pasternaka polega na tem, że poeta łączy te dwa słowniki, splata w jedną księgę ich poplątane stronicę.

Połączenia tego dokonał najsprawniejszy chemik, człowiek bardzo utalentowany i bardzo kulturalny. Zna on dokładnie miarę, wagę, barwę i dźwięk słowa: waży i mierzy słowa jak pirotechnik swe składniki i z ich połączenia powstają wspaniałe, błyskotliwe fajerwerki. Trzeba wiedzieć, że wykształcenie swoje Pasternak oparł na studjach malarskich. Lektury swoje w akademii opisuje w jednym z poematów. Czytając jego wiersze, ma się czasami wrażenie, że poeta pracuje paletą i pędzlem, nie jak pisarz, lecz jak malarz. Lubi on określać kolory nazwami farb, znanymi tylko zawodowym malarzom. Lubi dać w wierszu gamę barw albo utrwalić plastyczny obraz. Nie ukończywszy studjów w szkole malarskiej, Pasternak oddał się muzyce. Gdy ukazały się pierwsze jego wiersze, zostały one przyjęte jako „dziwactwa muzyka“, I długo Pasternak nie mógł przezwyciężyć cięższej na nim muzycznej przeszłości. Zresztą niemało miejsca udzielił muzyce i w poezji. Stale powraca do tematów muzycznych. Być może tem się tłumaczy jego specjalna wrażliwość w stosunku do dźwiękowej strony słowa: często wydaje się, że słowa przychodzą do niego dzięki współdziałności a nie ich znaczeniu.

Zupełnie inna jest Maryna Cwietajewa. Jak każdy, ma ona oczywiście swój słownik (lubuje się w ludowych i archaicznych zwrotach), ale nie to czyni ją Cwietajewą. Tajemnica jej polega na tem, że ma ona swą własną, nie napisaną, ale ilustrowaną setkami przykładów — poetykę.

Za podstawę swych wierszy bierze ona nie metrum, lecz specjalny stały rytm, osiągając go przez dobór wyrazów o odpowiedniej metryce (język rosyjski nie ma stałych akcentów), przez równoległą budowę zdań. U Błoka można znaleźć zarodki tego sposobu, u Cwietajewej to już poetyka. Czytając ją, trudno wyzbyć się dźwiękowej halucynacji: słysząc taneczny tupot nóg. Specjalnie wyraźnie dźwięczą u niej motywy chóralne i taneczne. Ale Cwietajewa nie jest pieśniarką — zna ona orkiestrację. To oratorja, symfonje, chorały.

W swych wspomnieniach („Maska i muzyka“ Sowremiennijja Zapiski, ks. 57, Paryż 1935) Cwietajewa sama uchyła rąbek swej tajemnicy. Opowiada: „etażerka na nuty zawierała własność „mamy“ i „Lory“ (siostry Cwietajewej). Mamy: Beethoven, Schuman, opus'y dur'y moll'e, Sonaty, Symfonje, Allegro non troppo i Lory: Nouvelliste, Nouvelliste plus romanse (przez francuskie an). I oczywiście wolałam romanse. Po pierwsze zawierały dwa razy tyle słów, co nuty (na jeden wiersz nut—dwa tekstu), po drugie całą bibliotekę Lory można przeczytać słowo po słowie, opuszczając nuty (Gdy

później zmuszona koniecznością własnej rytmiki, zaczęłam rozbijać, rozrywać słowa na sylaby, zapomocą nieprzyjętej w wierszach kreski i gdy każdy za to na mnie przez lata całe napadał, a rzadko kto pochwalił (i jedni i drudzy za „współczesność“) i gdy nic nie umiałam odpowiedzieć, jak tylko „tak potrzeba“, — zobaczyłam kiedyś nagle oczami owe teksty romansów z lat dziecięcych, pełne uprawnionych kresek i uczulałam się umyłą: wszystką Muzyką z wszelkiej „współczesności“: umyłą, podtrzymaną, potwierdzoną i uprawnioną — jak dziecko dzięki tajemnemu znakowi rodu okaże się rodzonem, mającem prawo żyć nareszcie! Lecz być może ma rację i Balmont, mówiąc napół z wyrzutem, napół z zachwytem: „Ty żądasz od wierszy tego, co może dać tylko muzyka!“ Romanse to były tak samo książki, tylko z nutami. Z wyglądu nuty, ale książki. Szkoda tylko, że takie krótkie. Otworzyło się i koniec“.

Ze zbiorów swych pragnie Cwietajewa dać takie „nutowe książki“, ale tak, by muzykę było słyszeć między ich wierszami. Osobliwość rozłożenia przez nią materiału słownego rzuca się w oczy, gdy się otworzy jej zbior, nie czytając go nawet. Interpunkcja — to jej nuty, a nie gramatyczne znaki przestankowania. Kreska to jej znak muzyczny, nie logiczny, do niej trzeba stosować głos, a nie rozumienie utworu.

Jeden ze swych zbiorów p. t. „Rzemiosło“ (zresztą nie-najlepszy) Cwietajewa poświęciła na zilustrowanie swej poetyki. Lecz eksperyment jej, ma się rozumieć, tylko tam nabiera właściwego znaczenia, gdzie posługuje się nim dla swych tematów. A tematy te—to odtworzenie w poezji rosyjskiego losu i bohaterskiego, i obywatelskiego, i ogólnoludzkiego—okrutnej i znamiennej epoki wojny i rewolucji.

LEW GOMOLICKI

N I E R U S Z A Ć

„Nie ruszać, świeżo malowane“ —
któż ustrzec duszę mógł!
I pamięć w plamach ust różanych
i ócz i rąk i nóg.

Jam cię ukochał tylko za to
ze wszystkich moich sił,
że pożytkniały, biały świat ten
przy tobie bielszy był.

I kiedyś, druhu mój, ma mgło,
on będzie bielszy powiem,
niż żar maligny, umbry tło,
niż bandaż na mej głowie.

BORYS PASTERNAK

z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

ZŁOŻYWSZY WIOSŁA

Tłucze się w piersiach leniwych nam łódź.
Wierzby się chylą, całując nas w twarze,
w łokcie, łopatki — o, czekaj i nuć,
to się każdemu wszak może przydarzyć.

Przecież tem cieszy wszystkich nas śpiew,
przecież to znaczy popiół z bzów płomienia,
przepych rumianku i rosy wśród drzew,
usta i usta na gwiazdy wymieniać.

Przecież to znaczy wpić w nieba się dzwon
i w Heraklesa utonąć ogromie.
Przecież to znaczy przez lata po zgon
noce na trele słowicze wciąż trwonić.

* * *

Tędy przeszedł zagadki się szpon tajemniczy.
— Późno, spać. Skoro świt, przejrze znów i zrozumie.
A dopóki nie zbudzą, najdroższej oblicza
podotykam, jak niktby nie umiał.

Jakem ciebie dotykał! Nawet ust mych pługiem
tak ruszałem, jak wzrusza tragedia na sali.
Pocałunek jak lato. Powolny i długi.
A już potem szła burza zoddali.

Jak ptak piłem. Sączyłem do utraty zmysłów.
Gwiazdy długo gardłem do przełyku płyną,
a słowiki oczami na niebie zawisły,
po kropelce spijając wieczorny horyzont.

MEIN LIEBCHEN, WAS WILLST DU NOCH MEHR?

Mkną po ścianie szybkie strzałki
i godzina jak karaluch.
Przestań, poco ciskać szklanki,
tłuc talerze, grzmieć na alarm?

Przecież z willą tą sosnową
rzecz nie taka może stać się!
Szczęście, szczęścia cóż żałować!
Grom nie huknął, czegoż bać się!

Może nagle wałęsać piorun
i wybuchnie mokrą budką.
Lub szczeniaki ci rozbiorą.
Deszcz przebijie skrzydło śrutkiem.

Dla nas wciąż las przedpokojem,
piec — księżycą żar za jodłą,
jak wyprany fartuch w znoju —
chmura schuie i szepcze modły.

Kiedy zaś ku studni wali
wieher smutku, mimochodem
gospodarstwo burza chwali.
O cóż tobie jeszcze chodzi?

Rok na nafcie cały zgorzał
ćmą uległą lampy wdziękom.
Oto szarosiną zorzą
wstał on senny, wstał zmoknięty.

Jak przez dziurkę patrzy w okno
stary, straszny przez swą litość,
przezeń jest poduszka mokra,
w niej są jego łzy ukryte.

Nie pocieszysz starca nijak
ty, co żartów nie znasz wcale.
Jakżeż lata, które mija
uspokoisz zgłuchłe żale?

Las w ołowiu pasmach licznych,
siwy łopian sterczy zboku,
on we łzach, a tyś przesłizna,
jak dzień cała, jak niepokój.

Czemu płacze, stary osioł,
czyżby widział większe szczęście?
Czyż słonecznik kiedy po wsiach
gaśnie w deszcz i w kurzu chrząście?

M A R Y N A C W I E T A J E W A

K. A. Jaworskiego

* *

*

Imię two*) — drżący w ręce ptak,
 imię two — lodu zimny smak.
 Jeden ruch ust — króciutki dźwięk
 i pięciu liter pęk.
 Piłki ciśniętej nagły rzut,
 srebrzystych dzwonek w ustach
 [miód.

W cichą głębinę spadły głąz,
 jak się nazywasz — ehlupnie raz.
 W dudnieniu kopyt końskich w noc
 słysząc imienia twego moc.
 I nazwie nam go prosto w skroń
 naciskająca cyngiel dłoń.

Imię two — nie wolno, ach!
 Imię two — to pocałunek w łzach,
 któryby oczu na wieki strzegł,
 imię two — to pocałunek w śnieg.
 Przejrzysty, czysty, ożywczy tlen.
 Z imieniem twojem zapadam w sen.

*) wiersz, poświęcony A. Błokowi

* *

*

Miał don Juan wciąż przy sobie
 [szpadę,
 miał don Juan młodą donnę Annę.
 Oto wszystko, co mi powiedziano
 o przepięknym, o nieszczęsnym don
 [Juanie.

Ale dziś na drogi wyszłam mrok
 w północ, jedną myślą urzeczona:
 ktoś wyliczał mi imiona,
 idąc za mną w krok.

I we mgle się bielił kij drewniany.
 Nie miał już don Juan biedny donny
 [Anny.

* *

*

Samotna w nocy dziś nie zamknę ocz,
 bezsenna i bezdomna zakonnica.
 Dzisiejszej nocy ja posiadam klucz
 od wszystkich bram jedynej mej
 [stolicy.

Bezsenna z domu mię na miasto śle.
 — O, jakżeż pięknie szary Kreml
 [mój drzemie!
 Dzisiejszej nocy ucałować chcę
 całą okrągłą wojującą ziemię.

Nie włosy jeżą się, lecz futra włos
 i duszny wiatr wprost duszą moją
 [młota.
 Dzisiejszej nocy bliski mi tych los,
 dla których liłość ma się i pieszczoty.

SONETY J. M. HEREDJI W PRZEKŁADZIE

(W trzydziestolecie zgonu)

N E S S O S

Dopóki, z braćmi dolą związana jednakową,
lepszego ni gorszego nie znałem dopustu,
Pindu strumienie lodem płókały mię chlustu,
i pośród skał królewsko żyłem i godowo.

Pięknego, szczęśliwego, prażyły mię słońca
i tylko czasem, w nozdrze niesiona wichrami.
gonitwę, co raduje, lub sen, który mam,
pachność epirskich kobył mąciła gorąca.

Lecz od ranka, gdym cudną ujrzał Miłośnicę,
śmiejącą się w ramionach Łucznika Stymfali,
żądza jeży mi grzywę i wnętrzności pali.

Albowiem bóg jakowys (kłatwą go nie chwycę),
pomieszał we krwi mojej, co się nie ostudzi,
chuć rumaka z miłością, pogromczynią ludzi.

CENTAURZYCA

Włóczyli się tu ongi puszcza i stepami,
a niezliczeni byli, dumni i zuchwali.
Cień walczył na ich skórach z płomieniem koralu,
gdy w słońcu z rozwianymi biegali chwostami.

Dziś napróżno soczysta wybujała trawa:
stratujemy ją same, pustych pieczar panie.
Co noc, gdy się już czarno i bezdennie stanie,
jęk nam z piersi wydziera dzikich koni rżawa.

Skarleli, ej, skarleli potomkowie Chmury,
i, wzgardziwszy rodzinnych kochanie uściskiem,
za wiotkiej się kobiety włóczą pojawiskiem.

A nami żądza miota i, wspaniałe córy
Iksjona, końskim chuciom oddajemy ciało,
by w nas kobyłe plemię kobyły ścisnęło.

P R Ó Ś B A

Stań, przechodniu, i słuchaj! Jeśli cię tułaczy
krok nad nurty Hebrosu niesie, ku Kipseli,
odszukaj tam Hillosa, co się wiekiem bieli,
i powiedz, że już nigdy syna nie zobaczy.

Me ciało, które zbójca powalił, na ćwierci
podarły wilki. Czaszkę pogrzebały chaszce.
Cień okraża Erebu niewzruszoną paszczę,
oburza się i płacze: nikt nie pomścił śmierci.

Odejdź! A jeśli kiedy, nim słońce zapadło,
ujrzysz u stop mogiły kobietę wybladłą,
którą czarna żaloba w noc bezgwieздną zmienia,

zbliz się, guseł niebojny ani urzeczenia:
to moja rodzicielka nad grobem, co mam,
urnę pustą objęła i płacze w nią łzami.

T A D E U S Z A B O C H E Ń S K I E G O

autora „Trofeów”)

M E D A L A N T Y C Z N Y

Etna wciąż rodzi wino, którem Teokryta
poila przed wiekami słodka Erygona.
Dziś o dziewy, co wiersze wydzierają z łona
urodą lic, niech tęskny poeta nie pyta.

Tracąc czystość boskiego profilu, mieszała
Aretuza, naprzemian służebna i miła,
w żyłach, kędy grecka purpura buizyla,
szał saraceński z butą, którą Anjon pała.

Czas mija. Wszystko czeźniej w strumienisku losów
Agyrgentum jest cieniem, śpi Syrakuz piękno
pod błękitnym całunem łagodnych niebiosów.

Tylko kruszce, co—było—pod miłością miękną,
w srebrze medalu, kwiecie swoim, zachowały
sycylijskiej dziewczeczki powab doskonały.

R O S S I

Widziałem cię, o Rossi, jakeś włókł po ziemi
czarny płaszcz i w Ofelji serce miażdżył płone,
jakeś, zwierzę miłością i szaleńcem durzone,
dusił szloch białościami chustki fatalnemi.

Widziałem cię Makbetem i Lirem, pokory
łzą płakałem, gdyś, amant starych Włoch ostatni,
śluchał Julję w zgonu weselnego matni,
Lecz większy i straszliwszy innej byłeś pory.

Zgrozą wtedy i szczytną rozkoszą wezbrałem,
słuchając, jak potrójnie wiązane tarcyny
złotym twym głosem grały swą żelazną chwałę.

Czerwony odbłaskami podziemnej głębiny,
ujrzałem (i dygotem dusza mi ociekła)
Danteo, który, żywy, pieśń wyrzucał piekła.

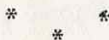
B I E G U N

Zawładnął człek siedliskiem lwów rozplamionem,
zdeptał krainę jadu, węzów, mateczniki,
a daleki ocean, co pławi łodziaki,
zmącił starym, niecącym złoty ślad galjonem.

Lecz dalej, niż śnieżyce, niż wiry Malströmu,
niż jałowych Spitzbergów groźne lodowawy,
Biegun falą ciepłąwą opłókuje skały,
co najściu nie uległy jeszcze nieczyjemu.

Naprzód! Zwalczę, przełamie lodowe puklerze,
bo mam w zuchwałem ciele duszę, co się miota
i gardzi łatwą sławą zgartywaczy złota.

Idę już! Na ostatnie wędre się wybrzeże,
a wody, co dotychczas ludzkości milczały,
pieścić będą mą dumę pomrukami chwały.



Na jednej ręce wazysz
 życia swego miłości,
 na drugiej wiernych przyjaciół.
 Muzyką brzmią kochanków czarujące głoski,
 Za słońcem w więzieniu płaczesz.
 Zawsze dwojako ci żyć wypadnie.
 Światła obok cieni
 i marna pogoń za snem zradnym.
 Za złudą iść. I nigdy nie nadążyć.
 Miłością nad materją krążyć.
 Nad wiekami — rozpaczą.
 Szukając nowych biegunów magnetycznego pola,
 każdy czemś swe rany okupuje.
 Za głosem głos płynie pod cmentarne tuje.
 Śmierć przybliża tragiczną metropolję.
 („Gwiazdna wędrówka“)

JAROSLAV BEDNARZ

z czeskiego spolszczył Antoni Madej

D O M G R A L A

(fragment z powieści p. t. „Uroczysko“)

Sposępniał, przejęty powagą i doniosłością swej nowej roli. Stojąc w szeroko otwartem oknie, spoglądał w zamyśleniu na spiętrzone, barwne, lecz mocno wyblakłe dachy, na szare bryły liszajowatych, deszczem splókanych murów, strzeliste, światłem słonecznem fosforyzujące wieże kościołów i dwa tragicznie sterczące kikuty uschłych drzew, straszących nocą pod ogrodzeniem. Z podwórza zawiąło naraz ostrą, duszącą zgnilizną ścieków, jakby fetorem rozkładającego się ściierwa, a jednocześnie Anna krzyknęła ze złością: „Zamknij okno!“ ale Andrzej nietylko że nie poruszył się z miejsca, lecz wprost przeciwnie, całą piersią wdychał wstrętną, odrażającą woń, wpływającą do pokoju. Anna denerwowała się. Coś burknęła pod nosem i głośno zatrzasknęła drzwi, prowadzące do kuchni.

Andrzej nawet nie drgnął. Ten okropny, do mdłości doprowadzający zaduch rozprażonych, podwórzowych rynsztoków, zaduch, przed którym dotąd uciekał, jak przed zarazą, zapachniał naraz domem, ścianami, w których Andrzej przyszedł na świat, gdzie wychował się i gdzie wreszcie spędził zgórą dwadzieścia lat życia. Tak, to był z całą pewnością zapach skór, wyprawianych w obszernej, brudnej izbie przez ojca, Wawrzyńca Grala.

Andrzej, wpatrując się w szary, bezbarwny tynk naprzeciwległej kamienicy, widzi małą, zabłoconą osadę Górki, oddaloną o dwa i pół kilometra od powiatowego miasta, osadę o czarnych, fantastycznie połamanych dachach, starym romańskim kościele, wspartym na dwu potężnych skarpach, ocienionych zielenią akacji, z którego omszonej, ciężkiej wieży sypie się śnieg nieprzeliczonych gołębi. W jednej jedynej „kamienicy“, zbudowanej z białego kamienia, mieści się apteka a zaraz obok czysty, parterowy, ogrodem otoczony dom Gralów. Przed domem stoją prawie zawsze błyszczące, rozchlupotane i grzaskie kałuże, a za sadem rozciąga się piękny widok na gminne łąki, przecięte aluminiową, połyskliwą rzeką, gęsto porośłą bujną, wonną łąką.

Ściany domu Gralów pachną zdaleka świeżo wyprawianą skórą. Wystarczy tylko przejść obok, by stwierdzić, że mieszka tutaj kuśnierz, Wawrzyniec Gral, którego wyroby zdobyły sobie sławę nie tylko w ściśle zamkniętym obrębie jednego powiatu, ale zawędrowawszy jeszcze na jarmark w Łęcznej, przeniknęły w dalsze okolice.

Andrzej pamięta przedewszystkiem zapach. Zapachem tym nasiąkł bowiem cały aż do szpiku kości i do dzisiejszego dnia czuje go w nozdrzach. Od najmłodszych lat przecież tarzał się po zielonej, szczeciniastej łące nad rzeką, ale częściej jeszcze po czarnej lub żółtej wełnie wyprawianych kozuchów, dymiących duszącą wonią rozprażonego gnoju. W Górkach było Andrzejowi dobrze. Wprawdzie w domu nie panował dostatek, ale przecież na głód nikt tutaj narzekać nie mógł. Ojciec, póki żył, potrafił swą ciężką pracą utrzymać niewielką rodzinę, złożoną z rodziców oraz dwojga dzieci: syna i córki Anny. To też dzieciństwo Andrzeja przeszło szybko i do tego bez żadnych głębszych wstrząsów. Pozostawiony samemu sobie, miał zupełną wolność i zawsze mógł robić to, co tylko chciał. Mógł więc powiedzieć całkiem śmiało, że wychował się właściwie sam, wprawdzie może trochę niesforne i dziko, ale sam, jak ziarno, ciśnięte wiatrem na dalekie, zapomniane ugorzysko.

Andrzej już od najwcześniejszych lat był zdecydowanym odludkiem. Stale wyszydzany przez chłopców, uganiających z dzikim wrzaskiem po szerokim, wydeptanym wygonie, włóczył się najczęściej sam po nadrzecznych łożach, po bajorach i gęstym, żywicznym lesie, zieleniejącym na falistych, malowniczo porozrzucanych wzgórzach. Często spał w chłodnej, tajemniczo szumiącej trawie, obserwował płochliwe zwierzęta, chwycił białe i cytrynowe motyle, zapoznawał się z urokiem i grozą letniej burzy oraz pięknem ugieżdżonego nieba.

Pamięta, jak kiedyś, zaszywszy się zbyt daleko w lipcowe, dojrzałe zboże, szedł i szedł bez końca jakąś włochatą miedzą, zrywając po drodze czerwone jak płomień maki. Tak zgubił się w potężnym i jak żywe srebro migocącym, gęstem życie i zalewając się łzami, rozpaczliwie szukał drogi wyjścia z tej chlebnej, nieprzebytej puszczy, ale jej nie znalazł. Więc skuliwszy się w brózdzie, spoglądał w górę, w niezapominajkowo błękitne niebo, po którym przepływały z szumem wody blaskiem ociekające grzywy rozchwianych zbóż. W ten sposób usnął, a zbudził się dopiero w domu...

Wtenczas Andrzej nie rozumiał wprawdzie istotnego sensu bajecznego świata, lecz zato kochał go już całą swą dziecięcą gorącą miłością, a owe samotne włóczęgi cenił nadewszystko.

Uczył się nienajlepiej, chociaż był zdolny i pilny, lecz wciąż męczyła go paraliżująca nieśmiałość oraz częste „zamyślenia“. W takich momentach sprawiał wrażenie dziecka chorego i bardzo nieszczęśliwego zarazem. Stał błądy z szeroko wybałuszonemi oczyma, nie mogąc wykrztusić słowa.

W dziesiątym roku życia zaczął uczęszczać do gimnazjum w pobliskim mieście i odtąd już przez osiem lat mięsił swemi niezgrabnemi buciskami błoto, chlupocące na góreckim gościńcu. Do szkoły zaś miał spory szmat złej, rozjeżdżonej drogi.

W tym czasie umarła matka, więc ojciec chcąc nie chcąc musiał więcej zająć się dziećmi. Z Andrzejem kłopotu nie miał, ale zato Anna stała się utrapieniem starego Grala. Ta czteroletnia, ruda brzydka i piegowata dziewczyna napełniała sobą nietylko ściany szczupłego domu, ale niepokoiła też cichą górecką ulicę, gdzie znali ją wszyscy. Najulubieńszą rozrywką Anny była zabawa w „dwór królowej“, podczas której rolę główną grała naturalnie ona sama, nie chcąc nawet „na próbę“ wprowadzić żadnej z rówieśniczek na tron monarszy, co znów było przyczyną ustawicznych intryg wśród dworzan, niezadowolonych z takiego obrotu rzeczy i dlatego zawzięcie spiskujących przeciwko dumnej, dziewięcioletniej królowej. Nieraz już groziła jej nieukniona detronizacja, lecz ona zawsze umiała groźbą lub słodką obietnicą zażegnać burzę. Próba rewolucji kończyła się więc prawie zawsze uroczystym hołdem. Anna nie tolerowała nigdy żadnych złośliwych uwag pod swym adresem, choćby one pochodziły od starszych, oraz brzydziła się wszelką uległością, a upokorzona przypadkiem, dławiała się gdzieś w kącie od łez i niehamowanej wściekłości.

Skończywszy szkołę powszechną, wyrosła, wybielała i wtedy to Wawrzyniec Gral umieścił ją w średniej szkole handlowej. Od tego dnia ambicja jej rosła w nieprawdopodobny

wprost sposób. Ubierała się niezwykle pretensjonalnie i jaskrawo, co znów narażało ją niejednokrotnie na przykrości w szkole i przebywała prawie stale za domem. Ale gdy w parę miesięcy po egzaminie dojrzałości Andrzej zmarł ojciec, śmierć ta po raz pierwszy złamała i przytłoczyła Annę. Zamknęła się w domu, posmutniała i jakby wykpiwała z niej wszelka radość, Andrzej dziwił się, ale i cieszył jednocześnie z tej zmiany, chociaż siostra wciąż jeszcze milczała i darzyła go jak dotąd nieufnością. Odprawiła starą służącą Klarę i sama zajęła się domem.

Andrzej zaś zamiast wyjechać na dalsze studia postarał się o drobną pracę na pocztę i tak dalej wlokło się życie w obłoconych, zapadłych Górkach. Jednak w duszy jego wciąż rósł głód nauki, tak jak Annę znów dręczyła nieposkromiona żądza świata. Wkońcu doszło do tego, że za namową siostry Andrzej sprzedał dom i z trzema tysiącami złotych znaleźli się oboje w Warszawie. Andrzej zaraz zapisał się na filozofję, siostra zaś zajmowała się dalej gospodarką. Ale w mieście jeszcze bardziej posmutniała i stała się jak grób milcząca. O jej nowem życiu Andrzej wiedział bardzo niewiele, właściwie prawie to tylko, że dużo czasu spędzała za domem na „samotnych spacerach“, jak to zresztą twierdziła sama. Pozatem nic więcej. Przeczynał raczej, że oszołomiła ją do bezpamięci Warszawa, chociaż jemu stanowczo przeszkadzała w studjach ta gorączkowa, niespokojna atmosfera o stale przyspieszonym tętnie, pełna sztucznego blasku, gwaru i kupieckiej wrzawy.

Wtem znów ujrzał Annę. Stała, jak przed godziną przed lśniącą, rozmigotaną szybą jubilerskiej wystawy, jak przed taflą czystej, kryształowej wody i pożerała wzrokiem perły, szafiry i wielkie, jak krople dżdżu, brylanty. W spojrzeniu dziewczyny Andrzej odnalazł coś takiego, co kazało mu szepnąć: „teraz dopiero zaczynam cię rozumieć powoli“, gdyż wydało mu się, że Anna stoi nie przed oknem jakiegoś sklepu, lecz na brzegu spokojnego, bardzo niebieskiego morza i z tęsknotą czeka, kiedy na widnokręgu pojawi się okręt, drobny, grzywą dymu powiewający statek, na którym ma zaraz odpłynąć na rajskie wonne i wiecznie kwitnące wyspy.

Szczęknęły drzwi i do pokoju wsunęła się cicho, bezszelstnie Anna z filiżanką dymiącej herbaty „Proszę“ rzekła, obrzucając brata badawczym spojrzeniem.

Andrzej zamknął okno. „Nareszcie“, pomyślała i zaraz dodała „Sobon jest naprawdę pięknym mężczyzną“ I potem leżąc już w łóżku, długo jeszcze myślała o pośle Soboniu.

„ROZMOWA Z OJCZYZNĄ” JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

(Biblioteka petycka „Dźwigarów“ Lublin—Warszawa r. 1935)

Książka ta jest nie tylko dziełem o dużej wartości artystycznej, ale i poetyckim pamiętnikiem autora oraz dokumentem epoki. Rewolucyjność Łobodowskiego dyskretna i stuszowana wznosi się tutaj na wyżyny prawdziwej sztuki. Poetę cechuje umiar i poczucie odpowiedzialności za każde wypowiedziane słowo. Ogólny ton raczej pesymistyczny, nastrój straceńczy: „na naszych klęskach znajdzie zgubę miazdzący nas świat“, (dlaczego jednak poeta mówi dalej o latach, rzuconych „na przepadłe“?) „w głuchym skurczu serc na straconych walach dzisiaj umierać“, „na strzaskanych stojąc kwadrygach, salutujemy ciebie, tragiczna młodości“, „jest śmierć sypiąca popiołem w twarz konającym łądom“, — chociaż autor pod tym względem nie jest jednak konsekwentny, bo oto gdzie indziej czytamy: „już niedługo piszącemu te słowa w Lublinie ręce drżące i rozpacz w krtani, bo „żrenice zamknij i wróż — wolna przed nami droga“ i t. d. albo „serce już słyszy wybuchy podziemnej eksplozji“. Przeważa jednak pesymizm, mogący z punktu widzenia prawowierności ortodoksyjnej stać się przedmiotem ataków. Łobodowski uprzedza je, wyjaśniając swe stanowisko w zakończeniu książki. Ciekawe, że nastrój pesymistyczny ujawnia się i w wierszach bardziej osobistych, czy to gdy poeta zwraca się do przyjaciela lat dziecięcych, mówiąc „wpatrzony w alfabet gwiazd, — jak żuk bezsilnie leżę na grzbiecie“, czy w pięknym poemacie „Sobie samemu“, czy w przedrukowanym z poprzedniego zbioru i uzupełnionym wzruszającym wierszu „Do ojca“ (o nie spowiadaj, umarły ojcie, syna, któremu życie żałobną na cmentarz jazdą), czy wreszcie w tragizmie autobiograficznych fragmentów „Nocy lubelskich“ (ciekawe i pouczające dla znających bliżej autora byłoby tu zestawienie pierwotnej redakcji tego poematu, drukowanego w pierwszym roczniku „Kameny“, z obecną).

Sympatje rosyjskie Łobodowskiego występują w całej drugiej części zbioru. I rzecz ciekawa, mimo sowietofilstwa autora w poemacie „Rozmawiam z Rosją“ najslabiej wypadł fragment „Do bolszewików“, a najlepszy bezwzględnie jest „Generał Kornilow“

Wstręt i pogarda Łobodowskiego dla dzisiejszego świata kapitalistycznego już w poprzednich zbiorach wyrażały się w jego tęsknocie do egzotyizmu i uwielbieniu pierwotnego barbarzyństwa, w czym nieraz dużo było młodzieńczej pozy i brawury. I tutaj te sympatje przychodzą do głosu w utworach już

naprawdę dojrzałych i tak skończenie pięknych, jak świadczący o zainteresowaniach epickich autora „Poemat barbarzyński“, czy najlepszy chyba utwór w zbiorze „Powrót Allaina Gerbault“. Czasem zabrzmiało jeszcze echo dawnej pozy i dwudziestoletniego junactwa w takim np. „Koniu atamana Łobody“.

Najwyraźniej manifestuje się to usposobienie autora w jego charakterystycznych przenośniach. Nie miejsce tu analizować technikę poety, który do warsztatu swego wprzągnął najnowsze zdobycze awangardy, nie rezygnując z pewnych walorów poezji skamandrowej, przez co osiągnął jasność i zrozumiałość utworów przy niezwykle wynalazczej i efektownej ich ekspresji. Chciałem tu tylko jedną rzecz podkreślić, która uszła uwagi dotychczasowych recenzentów „Rozmowy z ojczyzną“. Oto w Łobodowskim tkwi kompleks morza, będącego dla niego symbolem żywiołowej siły i nieokiełzanej wolności. Pamiętamy jego charakterystyczną modlitwę do morza o zagładę zgangrenowanej cywilizacji kapitalistycznej ze zbioru „W przeddzień“ („O, morze przenajświętsze, zmiłuj się nad nami“). Uraz ten przejawia się zarówno we wspomnianym „Powrocie Allaina Gerbault“, jak i w licznych przenośniach morskich, rozrzuconych po wierszach, nie zgoła z morzem nie mających wspólnego: „łamią się skrzydła struchlałym mewom na ostrych biskajskich scherach“ (Pieśń o głodzie), „wicher epicki napęla żagle wieczornym okrętom“ (Wiersz przeczuwający), „nad nad nami zwichrzony świt — morze bijące o brzegi“ (Lublin 1934), „ten sam wiatr, który w porcie podwiewał płótna banderom“ (Do Nikołaja Salutina), „łodź niesioną przez Arktyk był cichy dom (Sobie samemu) „jak nam, jak im na topieli powierzyć się łodziom“ (Elegja październikowa), „ocean nieogarnięty idzie na brzegi z łoskotem“ (Rozmowa nocna), „głupie serce przybije do portów dalekich“ (Ostateczność). Świadczy o nim i piękny erotyczny fragment „Nocy lubelskich“ w pierwotnej ich redakcji.

Reasumując: ostatni zbiorek Łobodowskiego to już nie zapowiedź, to dowód dużego talentu, który przestaje już fermentować, lecz tężeje i krzepnie. „Rozmowa z ojczyzną“ wysuwa autora na czoło najmłodszej poezji polskiej i każe rokować nam jak najlepiej o jego przyszłości artystycznej.

P. S. Trzeba jednak wytknąć błędy językowe, psujące harmonię całości: nawet dla rymu nie mówi się „zrozumią“ zamiast „zrozumieją“ (str. 16), razi *accusativus tromtadraticus* w zdaniu „nie uważał za możliwe fałszować własną rzeczywistość poetycką“ (str. 63).

N O T Y

TRAGICZNA ŚMIERĆ POETY Bronisława Ludwika Michalskiego, autora zbioru „Wczoraj” i rozsypanych po czasopismach poezyj, wywarła przynębiające wrażenie zwłaszcza wśród literatów lubelskich, tracących kolegę i przyjaciela. W następnym numerze zamieścimy wspomnienie o przedwcześnie zmarłym poecie pióra J. Łobodowskiego oraz wiersz z jego teki pośmiertnej.

WSRÓD PISM, które ukazały się w ostatnich miesiącach, na szczególniejszą uwagę zasługują dwa lewicowe: „Poprostu” i „Nowa Wieś”. „Poprostu”, wileński dwutygodnik literacko-społeczny, żywo redagowany przez Dembińskiego, Mikułkę i Orde, w pierwszych dwóch numerach usprawiedliwia jednak głównie drugą część swego podtytułu, gdyż część literacka prezentuje się w nim narazie ubogo. Podkreślić należy uwzględnienie przez pismo kroniki białoruskiej (ale przydałaby się i litewska) i podawanie informacji o nieznannej prawie zupełnie u nas poezji białoruskiej (artykuł o Jance Kupale). „Nowa Wieś”, organ Literatów Ludowych, redagowany przez poetę Antoniego Mirka (Olchę), to kontynuacja „Wsi jej pieśni”, ale nowy miesięcznik, pozbywszy się elementów chwiejnych i konserwatywnych, ma bardziej skrzystalizowane oblicze.

LEWAR, dawny de nomine dwutygodnik młodej lewicy literackiej, przekształcił się słusznie w miesięcznik, oby odtąd wychodzący regularnie. W numerze 10-ym redakcja zamieszcza deklarację, w której oświadcza, że aczkolwiek najbliżsi są jej pisarze, stojący „na gruncie marksistowskim, to jednak szpalty „Lewara” otwarte są dla wszystkich wrogich faszyzmowi literatów i publicystów”. Praktycznie odbiło się to dodatnio na poziomie pisma, o czym świadczą ostatnie numery.

SZEREK CZASOPISM („Lewy tor”, „Poprostu”, „Lewar” i in.) wysunął sprawę jednolitego frontu antyfaszystowskiego „pracowników pióra”. Kiedyś wytknęliśmy w „Kamieniu” (№ 17) niezdrowe stosunki, panujące pomiędzy różnymi obozami t. zw. lewicy literackiej, a wynikające nie tylko z różnic ideologicznych czy taktycznych, lecz i z ścierania się poszczególnych ambicji i ambicijek. Wskazywaliśmy też, kto z tej niezgody najbardziej korzysta. To też projektowi wspólnego frontu trzeba przyklasnąć. Ale wątpimy, czy uda go się w całość pełni zrealizować. Wiele okoliczności złoży się na to. Możeby więc lepiej było narazie zacząć od mniejszej rzeczy: poniechać wzajemnych kłótni i inwektyw, uznać dobrą wolę poszczególnych obozów i jednostek z lewicy literackiej i pozwolić każdemu pracować na swym odcinku w miarę sił i możliwości. Byłby to pierwszy etap na drodze do stworzenia wspólnego frontu.

ODBRONZAWIACZ W NIEZGODIE Z CHRONOLOGJĄ. Nowaczyński zamieszcza w „Prosto z mostu” artykuł „Mickiewicz a noc listopadowa”, w którym występuje z szeregiem zarzutów przeciw autorowi „Dziadów”. Nie wchodząc narazie w meritum sprawy (artykuł zresztą nie jest skończony) cytujemy tylko z niego: „po miodowych miesiącach i latach moskiewskich przechodzi półroczny epizod odeski”. Błąd chronologiczny, tkwiący w tym zdaniu, poprawi każdy siódmoklasista.

PO PAMIĘTNYM MAJOWYM AUTO-DA-FÉ w r. 1933, gdy na Placu Opery w Berlinie spłonęły książki najwybitniejszych pisarzy niemieckich i obcych, inkwizycja hitlerowska nie ustała w pracy. Ostatnio znalazł się na indeksie świetny pisarz angielski Rudyard Kipling. Motywy: Niemcy nie mogliby ulec żadnej innej hegemonji, jak tylko narodowo-socjalistycznej, a Kipling propaguje supremację imperjalizmu brytyjskiego. Istotnie rozumowanie Bandar-Loga.

LITERATURNAJA GAZIETA wydała specjalny numer, poświęcony literaturze i kulturze polskiej. Są tam artykuły współczesnych pisarzy polskich starszej generacji oraz świetne przekłady z poezyj skamandrytów. Ale numer jest zmontowany jednostronnie: brak w nim (poza Unilowskim) reprezentantów młodej, prozy i poezji, o czym zresztą wspomina w słowie wstępnym redakcja. Lecz co najoryginalniejsze, numer ten (nie liczbowany) według niezidentyfikowanej informacji „Wiadomości Literackich” nie dotarł do rąk prenumeratorów sowieckich i wogóle nie można go było nabyć w Z. S. R. R. Przeznaczony był tylko „nawynos” do Polski. Bardzo pięknie, ale my wolimy naszych autorów czytać w oryginale. I poco to się poważnym ludziom kompromitować i bawić w taką naiwną dypłomatykę!

kaj

W lipcu i sierpniu redakcja i administracja „Kameny” nie były czynne, stąd opóźnienia w odpowiedziach i wysyłce pisma.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. K. W WARSZAWIE. Dziękuję. Drukujemy.

P. S. Z. W WARSZAWIE. Z groteski „Śmierć Ildefonsa” nie skorzystamy.

P. J. L. W ROWNEM. „Wrzesień” zatrzymujemy w tece.

P. L. L. W WARSZAWIE. Niestety, nie da się zrobić, ponieważ w najbliższych miesiącach nie przewidujemy kolumny poezji niemieckiej. Prosimy o utwory oryginalne.

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE

Biuletyn Polsko-Ukraiński № 111 — 123

Dazboh № 8 — 9

Dekada № 32 — 34

Front Polski Zbudzonej № 26 — 29

Der Friedensbote № 36

Głos Powiatu Radzyńskiego № 1

Gong № 3.

Juni Druzi № 7

Lewar № 9 — 10

Marcholt № 4

Miecz № 57 — 69

My — ks. IV

Nazustricz № 12 — 17

Nowa Wieś № 1 — 2

Nowe Czasy № 22 — 27

Okolica Poetów № 3 — 5

Pion № 24 — 37

Polonista zesz III r. 1935

Polska Odrodzona № 12 — 14

Prostu № 1 — 2

Praca Oświatowa № 7—8

Prom № 9

Prosto z Mostu № 38

Polska Ludowa № 21 — 39

Świat Naopak № 7

Taternik № 6

Wici Wielkopolskie № 5 (44) — 6 (45)

Zet Nr. 6 — 7

Aleksander Puszkini: Domek w Kołomnie, Mozart i Salieri
(przekład W. Słobodnika) W-wa 1935
Roman Kołoniecki: Ballada o Piłsudskim. W-wa, Hoesick 1935
Józef Łobodowski: U przyjaciół. Lublin Biblioteka Dźwigarów 1935
Ant. Ładinskij: Czornoje i gołuboję, Paryż Izdat. „Sowriem.
Zapiski“ 1931
Antoni Kasprowicz: Słońce za murem Łódź. Drukarnia
Nakładowa 1935
Edwin Herbert: Dęby kwitną Poznań. Biblioteka Promu, 1935
Zygmunt Psarski: Mosty, Poznań. Biblioteka Promu 1935
Juljusz Grot: Sprawy ludzkie W-wa 1935

Numer niniejszy (pierwszy trzeciego rocznika „Kameny“) wysyłamy wszystkim naszym dotychczasowym prenumeratorom. Kto nie odnowi prenumeraty na rok bieżący (4 zł. rocznie za 10 zeszytów od września do czerwca włącznie; 2 zł. 25 gr. półrocznie za 5 zeszytów od września do stycznia włącznie), temu następnego numeru nie wyślemy.

Należność uiszcza się zwykłym przekazem pocztowym lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim) na adres administracji: Chełm Lubelski, Reformacka 15B, Zenon Waśniewski. Na miejscu można zaabonować „Kamenę“ w księgarni „Promyk“.

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻĄ SIĘ JAKO

NUMER CZWARTY BIBLIOTEKI KAMENY

WIERSZY WŁOSKIE

ALEKSANDRA BŁOKA

w spolszczeniu K. A. Jaworskiego i J. Łobodowskiego

z linorytami Z. Waśniewskiego

Cena 1 zł. 50 gr.

Zamówienia kierować do redakcji „Kameny“: Chełm, Reformacka 43.